

Bolesławskie Zeszyty Historyczne

Zeszyt nr 2

**Gmina Bolesław
pod okupacją hitlerowską
1939 - 1945**

Opracował Józef Liszka

Gminny Ośrodek Kultury w Bolesławiu
1997

Wstęp

Na temat drugiej wojny światowej napisano bardzo dużo. Jest bogata literatura historyczna, beletrystyczna, jest dużo dokumentów, filmów i sztuk teatralnych. Każdy Polak ma spory zasób wiedzy o drugiej wojnie światowej, dlatego w opracowaniu, które oddajemy do rąk Czytelnika unikamy powtarzania ogólnie znanych opisów, stwierdzeń historycznych. Tym skromnym wydawnictwem chcemy utrwalić fakty historyczne, a nawet drobne epizody z życia mieszkańców gminy Bolesław w okresie okupacji hitlerowskiej.

Minęło 58 lat od wybuchu wojny, 52 lata od jej zakończenia. Czasy okupacji mogą więc pamiętać osoby powyżej 60 lat. Tymczasem szeregi tych ludzi topnieją. Odchodzą też najszlachetniejsze postacie tego pokolenia, zabierając do grobu swe wspomnienia z czasów walk o niepodległość narodu.

Dlatego obowiązkiem naszego pokolenia jest przekazanie następcom tego wszystkiego, cośmy widzieli, przeżyli, jak walczyliśmy jako żołnierze i partyzanci.

Nie chcemy zamęczać Czytelnika przykrymi wspomnieniami, chcemy raczej spojrzeć na tamte czasy oczyma ludzi szczęśliwych, bo dane nam było przeżyć mroki okupacji, najstraszliwszej niewoli i terroru.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że nie podaliśmy opisać tematu wyczerpująco, jednak przekonani jesteśmy, że praca ta będzie w przyszłości "kamyczkiem mozaikowym" do odtworzenia historii gminy Bolesław podczas okupacji.

Ktoś zapewne podejmie kiedyś ten temat na wzór pracy Jana Kantyki "Sławków w okresie okupacji".

Pod koniec lat osiemdziesiątych Koło Miłośników Historii Bolesławia i Okolicy ogłosiło ankietę na temat wspomnień okupacyjnych. Wpłynęło kilkadziesiąt interesujących opracowań. Temat okazał się tak frapujący, że jeszcze do dzisiaj wpływają wspomnienia. Akcji tej nie zamykamy, i jeżeli Czytelnik po zapoznaniu się z treścią niniejszego opracowania poczuje potrzebę złapania za pióro, będziemy radzi.

Notatkę, nawet odręczną, prosimy dostarczyć przy nadarzającej się sposobności do Gminnego Ośrodka Kultury w Bolesławiu lub do jego filii w Krzykawce-Dworku, ewentualnie w Ujkowie Nowym.

Opracowania ankietowe wykorzystamy w "Bolesławskich Zeszytach Historycznych" po dokonaniu adiustacji, z zachowaniem autorstwa z maksymalnym zachowaniem autentyczności opisu.

Prosimy Czytelników o krytyczne uwagi do opracowania, które chętnie, po uzgodnieniu z autorem, zamieścimy w dwumiesięczniku społeczno-kulturalnym "Korzenie", wydawanym przez Gminny Ośrodek Kultury w Bolesławiu.

Osobom, które nadesłały wspomnienia okupacyjne składamy najserdeczniejsze podziękowanie.

Bolesław, wrzesień 1997 rok.

Kierownik GOK
wraz z autorem

Sytuacja gospodarcza i warunki życia w wioskach na terenie gminy Bolesław przed wybuchem wojny.

Ogólnoświatowy kryzys ekonomiczny w latach 1929 - 1931 odbił się fatalnie na życiu mieszkańców gminy.

W 1929 roku nastąpiły masowe zwolnienia w Bolesławskich kopalniach, a następnie ich zatopienie. Życie zostało sparaliżowane. Nawet zamknięto kino w Bolesławiu, gdyż ludzie nie mieli pieniędzy na kupno biletu. Szukali pracy i wprost walczyli o kawałek chleba. Gdy to przeżyli i życie zaczęło wracać do normalności, a w 1938 roku zaświtała nadzieja na uruchomienie kopalń i podjęto pewne przedsięwzięcia, to nagle we wrześniu 1939 roku wybuchła wojna.

Wybuch drugiej wojny światowej i wkroczenie wojsk niemieckich na teren gminy.

Już pierwszego września padły pierwsze ofiary. Podczas bombardowania węzła kolejowego w Bukownie zginął Stefan Foryś ze Starczynowa i Kubański - listonosz z Bolesławia.

W Laskach zginęła dwunastoletnia dziewczyna - Irena Kulig, trafiona odłamkiem bomby.

Niemiecka dywersja zastrzeliła polskiego żołnierza, inżyniera Zawięję z Kopalni "Łagiewniki".

Podczas pierwszych dni wojny przez Bolesław przetoczyły się ogromne masy ludzi, piechotą, na rowerach, motocyklach, samochodami i furmankami z tobołkami. Panowała panika, ludzie uciekali w kierunku wschodnim przed napierającymi wojskami niemieckimi od strony zachodu. Nad Żuradą zostały zestrzelone dwa samoloty nieprzyjacielskie. Pod Olkuszem starły się wojska armii polskiej "Kraków",

grup samoobrony i powstańców śląskich z kolumną samochodową Wehrmachtu. Nocami widoczne były ognie artyleryjskie nad Pilicą, Wolbromiem i Szczekocinami.

Tereny gminy Bolesław zostały zajęte przez wroga w dniu 5 września 1939 roku. Wkroczyła tu 14 Armia generała Lista. Był to pierwszy dzień okupacji trwającej do 20 stycznia 1945 roku.

W kilka dni później skonfiskowano broń, amunicję, pojazdy mechaniczne, odbiorniki radiowe, lornetki i aparaty fotograficzne. Ogłoszono godzinę policyjną od 19.00 do 6.00 rano. Posiadanie zabronionych przedmiotów i przebywanie bez przepustki poza domem groziło ostrymi sankcjami. Żydzi zmuszeni byli nosić gwiazdę, wyszytą po lewej stronie piersi.

Już po paru miesiącach na ulicach nie uświadczyło się Żyda. Masowo rozstrzeliwano ich na zburzonym przez cofające się wojsko polskie, moście pod Sławkowem na Białej Przemszy i wywożono do obozów.

Zarząd wojskowy w powiecie olkuskim trwał do 25 października.

Struktura administracyjna powiatu olkuskiego i miejsce Bolesławia w tej strukturze.

Po ustaniu zarządu wojskowego weszły w życie dekrety okupanta z 8 i 12 października 1939 r. mówiące o włączeniu części ziem polskich do III Rzeszy oraz o utworzeniu Generalnej Guberni na wschód od Olkusza. Granica przebiegała na odcinku powiatu olkuskiego przez Gorenice, Zimnodół, Wiśliczkę, Rabsztyn i Ryczówek (patrz załączona mapka).

Tak więc Bolesław i okolice znalazły się w III Rzeszy. Miasto powiatowe Olkusz otrzymało niemiecką nazwę Ilkenau i należało do rejencji katowickiej. Obowiązki landrata powiatu objął były pracownik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Rzeszy - Heinrich Groll.

W okazałym budynku szkolnym, dopiero co oddanym do użytku, utworzono urząd gminy. Szkołę przeniesiono do ciasnego budynku w Krążku i na Skalkę.

Funkcję amtskommissara gminy objął Niemiec, inwalida wojenny z pierwszej wojny światowej, bez nóg, bardzo nerwowy człowiek, doktor praw o nazwisku Nowak.

Ulicom w Bolesławiu nadano niemieckie nazwy: Hauptstrasse, Handenweg, Alt Boleslawer Strasse, Grabengasse, Laskier Strasse, Klut-sche Strasse. Podobnie uczyniono w innych wioskach gminy Bolesław: Chechle, Bukownie, Pomorzanach itd.

Zorganizowano szkołę niemiecką i kasyno dla Niemców oraz Konsum - Genosschaften.

Kopalnie Bolesławskie objęła niemiecka firma Ostdeutsche Erz- u Metall Gesdlschaft Scharley o/s.

W Krzykawie, na najwyższym wzniesieniu, doskonałym punkcie widokowym, zbudowano punkt obserwacyjny Luftwafe, a w Laskach zbudowano drewniane koszary wojskowe.

W budynku kopalnianym (tak zwanych "stodołach") mieściła się żandarmeria niemiecka Gandarmerine. Posterunki były również w Chechle, Kluczach, Bukownie i w Starczynowie oraz pod Sławkowem na tzw. Szymanówce.

Tak w ujęciu skrótowym wyglądał okupacyjny "pejzaż" gminy Bolesław.

Warunki życia mieszkańców gminy podczas okupacji.

Przymusowa praca obowiązywała już od czternastego roku życia. Po osiągnięciu tego wieku, dziecko wzywane było do pośrednictwa pracy - Arbeitzantu w Olkuszu, gdzie otrzymywało przydział pracy na teren ziem Polskich lub wywożono je w głąb III Rzeszy. Płace za pracę były raczej symboliczne. Czasem za dniówkę otrzymywało się

litr maślanki lub odwirowanego mleka.

W pracy panowała drakońska dyscyplina. Zdarzało się, że kto nie wykonał określonego zadania (normy) był kierowany na żandarmierię jako wróg III Rzeszy. Tam rozprawiano się z delikwentem.

Do 1943 roku Polacy uprawiali swe pola i normalnie gospodarowali, z tym, że byli zmuszeni nakazem zdać na rzecz Rzeszy część płodów. Przy słabszych zbiorach trzeba było dokupić i zdać zgodnie z nakazem, by uniknąć represji.

Wszystkie produkty żywnościowe były na kartki w głodowych ilościach. Zamiast cukru dawano kartki na sacharynę (białe pastylki, 500 razy słodsze od cukru, bez wartości odżywczych).

W takiej sytuacji ludzie chodzili na przemyt za granicę do Generalnej Guberni za Olkusz. Czyniono to z narażeniem życia. Pamiętam, że w takich okolicznościach została zastrzelona kilkunastoletnia dziewczyna z Małobądza - Pniaków. Za granicę zabierano produkty przemysłowe, pochodzące przeważnie z kradzieży w zakładach pracy w zamian za produkty rolne.

By jakoś wegetować, niektórzy Polacy próbowali kraść płody rolne u "bauerów", lecz to łączyło się z ogromnym ryzykiem. Złapany na takim uczynku był wywożony do obozu koncentracyjnego, skąd przeważnie nie wracał.

Polacy nie mogli korzystać z młynów, urządzali więc żarna i ręczne młynki przypominające maszynkę do mięsa. Mielono po kryjomu, bo i to było zabronione i surowo karane.

Wspomnienia okupacyjne mieszkańców Bolesławia i okolicy.

W dalszej części opracowania spróbujemy zobrazować życie Polaków podczas okupacji posługując się wspomnieniami. Nie sposób drukować wszystkich, które posiadamy, gdyż byłaby to gruba książka. Po wtóre, opracowania w niektórych grupach tematycznych powtarzają

się. Wybraliśmy więc opracowania reprezentatywne. Ograniczona względami finansowymi objętość niniejszego "Zeszytu..." nie pozwala nam na zakończenie tematu, postanowiliśmy więc wydać kolejne zeszyty o tej tematyce w odpowiednich odstępach czasu.

Opowiadanie Franciszka Żulichowskiego o karach za handel żywnością.

Mój dostawca towaru dał mi znać, że ma piękne, świeże bułeczki oraz czystą wieprzową kielbasę.

Jakkolwiek dłuższy już czas nie wyjeżdżałem do Sosnowca, tym razem coś mnie kusilo, ażeby pojechać. Poszedłem tego dnia wieczorem do Warwasa. Rzeczywiście towar był bardzo dobry i pokupny. Zapakowałem dość dużą tekę i jak zwykle wsiałem do autobusu z chorymi jadącymi na komisję lekarską.

Przyjeżdżamy do Sosnowca, mamy jechać jak zawsze, aż tu żandarm niemiecki zatrzymuje nas i każe jechać w kierunku dworca, nie tam gdzie jest cel naszej podróży.

Podjeżdżamy bliżej, widzimy tłum ludzi na placu przed dworcem kolejowym. Pełno mężczyzn, kobiet i dzieci. Widzimy podest z desek, na którym stoi słup z poprzeczką, u której wisi kawałek sznura. Ludzie wkoło szeptają, to szubienica, pewnie będą kogoś wieszać, a ludziom każą się przypatrywać tej egzekucji.

Patrzymy, prowadzą jakiegoś mężczyznę ze związanymi w tyle rękami i z zawiązanymi oczami. Podprowadzają go na podest. Jakiś trzeci człowiek w czarnych rękawiczkach stoi z boku i czeka. Wychodzi Niemiec w mundurze, wchodzi na podest i czystą polszczyzną ogłasza: - "na podstawie prawa wojennego Rzeszy, dla przestrogi wszystkim Polakom, będzie dokonana egzekucja, za nielegalny handel, za wrogą działalność na szkodę narodu niemieckiego. Ostrzegamy wszystkich Polaków obojga płci, że egzekucja, której jesteście świadkami

nie jest ostatnią. Ktokolwiek będzie działał na szkodę narodu niemieckiego, bezpośrednio czy pośrednio łamał przepisy, uprawiał nielegalny handel, szpiegostwo lub inne czyny niezgodne z prawem niemieckim, będzie w podobny sposób ukarany”.

Za chwilę podchodzi kat w czerwonych rękawiczkach, zarzuca pętlę na szyję, podrywając jednocześnie podest, na którym stał skazany. Wiszący człowiek wierzgnął kilka razy nogami. To było więcej niż potworne!

Widząc to opadły mi ręce, omal teczki nie wypuściłem, widząc w myślach siebie stojącego na podeście. Po chwili tłum zaczął rzednąć, na placu pozostał jedynie wiszący Polak.

Wędzonych boczków szybko się pozbyłem. Długo nie mogłem otrząsnąć się z tego wrażenia. Po tym potwornym widowisku i przeżyciu nie miałem odwagi, by nadal trudnić się handlem.

Przeżyłem obóz koncentracyjny

- opowiada Mieczysław Pędras



Mieczysław Pędras

Znany w Bolesławiu i okolicy jako dyrygent górniczo-hutniczej orkiestry zakładowej, w Zakładach Górniczo-Hutniczych “Bolesław” w Bukownie. Zapytany przez dziennikarkę “Górnik”- Małgorzatę Rakowską, czym dla niego była muzyka, odpowiedział: “W latach dzieciństwa pierwszą fascynacją i odskocznią od codziennych zajęć w gospodarstwie, w młodości - szaloną miłością, a czasami i sposobem zarobienia paru groszy, w czasie II wojny światowej... bólem i ratunkiem”.

W początku wojny - opowiada - byłem pracownikiem biurowym w kopalni “Bolesław”, pracowałem jednocześnie jako organista parafii

w Bukownie. Proboszczem był ks. Tatko. Tam dowiedziałem się o istnieniu miejscowej, podziemnej organizacji.

W krótkim czasie aresztowano mojego kolegę Mariana Czarneckiego, byłego p. porucznika zawodowego W P zamieszkałego w Wygiełzy. W połowie 1942 r. zostałem dyskretnie poinformowany przez córkę administratora kopalni "Ulisses" w Tłukience, że jestem śledzony przez żandarmerię niemiecką w Bolesławiu oraz Bukownie.

Pewnej niedzieli, jak zwykle, udałem się do kościoła w Bukownie pełnić obowiązki organisty. Na plebanii zastałem płaczącą i zrozpaczoną gosposię. Oznajmiła mi, że ks. Tatko dzisiejszej nocy potajemnie wyjechał w nieznanym kierunku. Tej nocy wyjechał również syn kościelny - nauczyciel miejscowej szkoły - Szymczyk. Zorientowałem się wówczas, że ks. Tatko jest w konspiracji i nasze wspólne wyjazdy do jednego z lekarzy w Sosnowcu, były kontaktami z organizacją podziemną walki o wyzwolenie Polski. Księża Tatko zastępowali księży z Olkusza, z którymi udawałem się do kościoła. Uważałem to za bezpieczniejsze. Kolejne ostrzeżenie dostałem od ks. Skalskiego, proboszcza parafii w Bolesławiu, za pośrednictwem posłańca, który oznajmił mi, że powinienem zaniechać schadzek młodzieży w naszym domu, bo dom jest obserwowany.

1.01.1943 r. około godz. 1.00 zbudziło nas gwałtowne pukanie do drzwi. Byli to kolejarze w służbowych mundurach. Pomocnik maszynisty, mój krewny i maszynista o nazwisku Praski, obaj ze Strzemieszyc. Przejechali oni w Bukownie zamknięty semafor, najeżdżając pociągiem towarowym na stojący pociąg wojskowy, uciekli najprawdopodobniej przed aresztowaniem, szukając schronienia w naszym domu. Wczesnym rankiem mieli się udać do Błędowa, a następnie za granicę do Generalnej Guberni przy pomocy krewnych z Błędowa. Stało się jednak inaczej, bo siostra moja Janina zaopatrzyła kolejarzy w list polecający do kolegi Bazana. W drodze do Klucz zostali zatrzymani przez niemieckiego leśniczego - Henko, zwanym w okolicy "Piórkiem", i doprowadzeni do posterunku żandarmerii w Bolesławiu. Nastąpiła "wsypa". Zostałem aresztowany w biurze kopalni. Aresztowano

również moją siostrę i K. Bazana.

Wraz z siostrą zostałem przewieziony do tymczasowego aresztu w Sławkowie, a w trzecim dniu skuci kajdankami, zostaliśmy przewiezieni pociągiem do więzienia śledczego w Sosnowcu na Ostrej Górze.

W celi 4 x 3m było nas dwunastu, jedna prycza z desek bez siennika i kocy. Co chwilę wracał ktoś zbity po śledztwie. Jęki i płacz towarzyszyły nam bez przerwy. Miejsca na pryczach wystarczało tylko dla skatowanych, po ścianach łąziły pluskwy.

Metody stosowane przy przesłuchaniach były następujące: związanie rąk pod kolanami z zawieszeniem na drągu, stosując kołowrotek bito więźnia pejczem po plecach, głowie, nogach, topiono tj. wlewano wodę do nosa, kucanie nad ostrzem sztyletu - bagnetu, aż do czasu kiedy nogi i ciało nie zostały skaleczone przez bagnet, policzkowanie, chłosta kijem, aż do utraty przytomności, a wszystko po to, by wymusić zdradę organizacji, czy przyznanie się do winy. Wyżywienie, jakie dawano w więzieniu, to cieniutka kromka chleba z marmoladą i kubek czarnej kawy zbożowej, czy ziołowej herbaty na śniadanie i kolację, a na obiad nalewkę zupy jarzynowej.

Tak zmaltretowanych więźniów, po zakończeniu śledztwa, wysyłano do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu lub innych więzień, jak "Radocha" w Sosnowcu albo więzienia w Mysłowicach.

Pewnego dnia w godzinach przedpołudniowych zazgrzytał zamek celi więziennej i esesman wywołał moje nazwisko. Byłem bardzo wystraszony, bowiem wydawało mi się, że czeka mnie los więźniów, jaki dotąd oglądałem. Stało się jednak inaczej. Wraz z siostrą zostaliśmy przewiezieni karetką więzienną do siedziby Gestapo w Sosnowcu, i tam wtrąceni do ciemnej i wilgotnej piwnicy. Po dwóch godzinach pobytu w ciemnościach, zziębnięci, dzwoniąc zębami, wywleczeni zostaliśmy z tej nory i zapędzeni przed komendanta gestapo. Po otrzymaniu kilku kopniaków i uderzeń w twarz, odczytano mi protokół mojej winy, zadając pytanie, czy potwierdzam zgodność opisanego zajścia. Ponieważ w zeznaniach nic innego nie było, tylko to co faktycznie zaistniało, po akceptacji własnym podpisem, odwieziono nas do celi więzienia śledczego.

W kilka dni później zostaliśmy z siostrą wywołani wraz z dużą liczbą więźniów i wywiezieni do obozu koncentracyjnego Oświęcimia-Brzezinki. Tam przed bramą głównego lagru, gdzie widniał napis "Arbeit Macht Frei" (praca czyni cię wolnym) posegregowano nas. Kobiety i część mężczyzn odtransportowano do dużego obozu w Brzezince, a mnie wraz z pozostałymi wprowadzono do głównego obozu - Oświęcimia.

Po przeprowadzeniu gruntownych zabiegów higienicznych, a mianowicie: całkowite ostrzyżenie włosów, wygolenie wszelkich owłosień i po kąpieli pod prysznicami - ubrano nas w brudną, lecz wyparowaną koszulę, spodnie, beret i bluzę - pasiaki drelichowe oraz czółna drewniane. Tak przeistoczone postacie ludzkie przepędzono do bloku Nr 6, celem odbycia tzw. kwarantanny i nadania nam nazwisk, tj. numeru więźnia. Kwarantanna trwała około 30 minut. Codziennie przed wschodem słońca, po spożyciu śniadania składającego się z kromki chleba razowego i plasterka margaryny, schodziliśmy, bez względu na aurę, na plac między blokami i w drelichach, drżący z zimna, skuleni, dreptaliśmy w miejscu, aż do ocieplenia się dnia. Na placu dostaliśmy posiłek - obiad składający się z miski zupy jarzynowej, najczęściej jarmużowej z ziemniakami. Kolację jedliśmy po apelu już w celi. Podczas kwarantanny każdemu wytatuowano numer i od tego czasu nazwisko i imię nasze przestało istnieć, byliśmy numerami. Każdy z nas musiał umieć wymówić i zapamiętać swój numer. Po upływie czasu kwarantanny do obozu mógł być przeniesiony tylko ten, kto nie chorował i mógł wykonywać prace.

Po selekcji więźniów wyznaczonych do prac niewolniczych, pytano o wykonywane zawody. Zawód pracownika umysłowego był najgorzej traktowany, podałem zatem zawód muzyka grającego na wielu instrumentach. Zostałem wraz z 12 muzykami zgłoszony na komisję egzaminacyjną orkiestry obozowej. Tylko ja jeden zostałem zakwalifikowany jako członek dwóch orkiestr symfonicznej i dużej orkiestry dętej, otrzymując jednocześnie przydział do pracy w obozowej kartoflarni.

Było to szczęście w nieszczęściu, bowiem obierałem brukiew, ziemniaki, czasem marchew, ale pod dachem nad głową, mogłem ukradkiem coś zjeść, a nawet wykraść na zewnątrz. Za to musiałem grać w orkiestrze dętej 3 razy dziennie: więźniom, którzy wychodzili do pracy na zewnątrz, wieczorem wszystkim powracającym do obozu i w porze obiadowej, jak również codziennie brać udział w próbach orkiestry symfonicznej, koncertującej w każdą niedzielę dla załogi obozu.

Grając codziennie w orkiestrze obozowej, widziałem jak więźniowie wracając z pracy, nosili na własnych barkach kolegów zamordowanych przez "Capo" lub zmarłych z wyczerpania, bowiem na apelu musieli być wszyscy, tj. żywi i martwi. Po przekroczeniu bramy więźniowie byli kontrolowani. W przypadku znalezienia czegokolwiek, więzień był stosownie karany tzw. rolen, tj. kładł się na ulicy i turlał, esesman bił go pejczem, a pies szarpał jego ubranie i ciało, aż do utraty przytomności, a nawet życia.

Po wejściu wszystkich do obozu, odbywał się apel, przeliczano wszystkich więźniów i składano raport raportfirerowi. Jeżeli stan obozu się zgadzał, to sygnałem ogłaszano, że wolno spożywać kolację. W przeciwnym razie syrena oznajmiała poszukiwanie, aż do wyjaśnienia lub odnalezienia więźnia. Apel trwał wówczas do późnych godzin nocnych. W przypadku, gdy więźniowi udało się zbiec, esesmani wyznaczali kilku więźniów na rozstrzelanie.

Po spożyciu wieczornego posiłku, zamykano bloki i nie wolno było się poruszać po obozie. W przeciwnym razie, strażnicy z wież otwierali ogień z karabinów maszynowych. Bywały, i to bardzo często tzw. szpery - tj. sygnalizowane godziny, po których zamierało na jakiś czas życie w obozie. W tym czasie rozstrzeliwano więźniów z bloku śmierci i wywożono ich do krematorium w Brzezince. Droga do tego bloku ulana była ich krwią.

Celem i zadaniem obozów koncentracyjnych było wyniszczenie jak największej ilości więźniów, wykorzystanie do maksimum sił ludzkich, zmuszając biciem i terrorem do ciągłej pracy bez odpoczynku,

przy najmniejszych racjach żywności i bez snu. Dzień pracy rozpoczął się jeszcze przed świtem i kończył już nocą. W okresie letnim spaliśmy tylko 4 godz. Kiedyś bardzo spragniony snu, nie bacząc na niebezpieczeństwo, zamiast do kartoflarni, poszedłem do bloku na strych i tam zasnąłem. Szczęście, że obudziłem się przed apelem, bowiem nie stawienie się na nim było równoznaczne ze śmiercią. Raz w tygodniu więźniowie oddawali koszule do parowania, a raz w miesiącu pędzono nas do wspólnej łaźni, w której w kilku rzędach rozstawione były prysznice. Bez względu na porę roku, przed łaźnią należało się całkowicie rozebrać, potem w tempie szybkiego marszu przejść pod prysznicami i mokry ubrać się w swoje ubranie, biegnąc do własnego bloku. Po takiej kąpieli, głównie zimą, wielu więźniów trafiało do "krankenbau" - izbę chorych, z której wielu już nie wracało. Pośrodku obozu stała nazywana przez nas "Budka Kaduka" tj. budka, do której przybywał w czasie apelu lub formowania szeregów, raportfirer nazwiskiem Kaduk, mówiący po polsku. Przed tą budką odbywały się na oczach wszystkich więźniów egzekucje. Pamiętam, jak w czasie wieszania więźnia zerwał się sznur. Zaniechano jednak powtórzenia egzekucji, a więźnia odprowadzono do bloku śmierci nr 11.

I tak żyliśmy z dnia na dzień głodując, szukając pożywienia na wysypiskach śmieci, ciesząc się tym, że miniony dzień dał nam możliwość żyć jeszcze w dniu następnym, w którym nie wiadomo, co może się zdarzyć.

Niedaleko do głównego obozu, gdzie mieściło się dowództwo, był olbrzymi obóz "Brzezinka", zajmujący duże tereny malaryczne, zabudowane drewnianymi barakami, podzielonymi na sektory. W baraku takim były po obu stronach piętrowe łóżka z desek bez żadnych sienników. Wzdłuż baraku na ziemi ciągnął się komin, skierowany w górę przy końcu baraku. Był to system grzewczy każdego baraku.

Obóz ten, to prawdziwy kombinat uśmiercania istot ludzkich. Były tam również zabudowania komfortowe dla esesmańskiej obsługi obozu. Oprócz łaźni z prysznicami, były też łaźnie z pozorowanymi prysznicami - to były komory gazowe. Przychodzące pociągi - transporty

więźniów niemal z całej Europy, były pośpiesznie wyladowywane przy ujadaniu psów oraz biciu nahajami. Po wyladowaniu następowała selekcja - odbierano dzieci od matek, oddzielano kobiety od mężczyzn, Żydów, starców od młodszych wiekiem. Tak posegregowanych więźniów przydzielano dzieci do baraków dzieciennych, mężczyzn zdolnych do pracy do innych bloków męskich, starców żydowskich i chorych do gazu. W 1944 r. przybyło do obozu w Oświęcimiu - Brzezince dużo transportów ludności żydowskiej, pochodzącej z likwidacji gett z całej Europy.

Transporty te wyladowane niemal w całości uśmiercano cyklonem - gazem trującym, w pozorowanej łaźni. Pracujące bez przerwy dzień i noc 3 krematoria nie nadążały spalać ciał ludzkich. Wtedy to, kierownictwo obozu zmuszone było stosować spalanie ciał w olbrzymim dole. Wrzucano tam zagazowane i niedogazowane ciała, a swąd spalania było czuć aż w głównym lagrze.

10 października 1944 r. działalność orkiestry obozowej głównego lagru została zlikwidowana, a wszyscy muzycy orkiestr przewiezieni do obozu w Brzezince. Tam byliśmy dwa tygodnie i 24 października, bez przydziału jakiegokolwiek wyżywienia, zostaliśmy załadowani do pociągu. Jechaliśmy przez dwa dni i jedną noc.

26 października przyjechaliśmy do obozu Sachsenhausen komando/filii Oranienburg - zakładów budowy samolotów "Heinkel". Zakłady były nieczynne z powodu zbombardowania przez lotnictwo angielskie. Niemcy chcieli je uruchomić przydzielając nas do poszczególnych stanowisk pracy. Ja, udając fachowca, wykonywałem prace frezera, grając jednocześnie w orkiestrze symfonicznej tego obozu. Do uruchomienia produkcji samolotów nie doszło; przeszkadzały ciągle naloty lotnictwa alianckiego, bombardując Berlin i inne miasta, a szczególnie zakłady zbrojeniowe. W czasie nalotu nad Oranienburg, zbombardowano elektrownię i od tego czasu zakłady i my w barakach, pozbawieni zostaliśmy energii elektrycznej.

Był to okres, kiedy armie wojsk radzieckich, u boku których walczyły I i II Armia Polska, zbliżały się do Berlina, a od zachodu również

zbliżały się do Berlina wojska amerykańskie i angielskie, u boku których walczyły polskie formacje pancerne gen. Maczka i polski korpus lotnictwa stacjonujący w Anglii.

27 kwietnia 1945 r. po okresie bezczynności, żywieni tylko męzupą (mąka zalana wodą) przez tydzień, przydzielono nam po jednym bochenku czarnego chleba typu wojskowego. Całkiem wychudzonych i wynędzniałych pędzono drogą śmierci, przez 6 dni, bez picia i jedzenia. Spaliśmy w lasach, na bagnach, a była to przecież wiosna. Wszystkie obozy zlokalizowane blisko Berlina były pieszo ewakuowane w głąb Rzeszy. Była to ostatnia droga usiana trupami więźniów obozów koncentracyjnych, bowiem wystarczyło lekko się zachwiać na nogach w pochodzie, a esesmani strącali do rowu, uśmiercając strzałem w głowę.

W dniu 1 maja 1945 r. żyjących jeszcze więźniów, wśród których byłem i ja, wpędzono w duży obszar lasu bukowego, obstawiając karabinami. Tam dochodziło już do ludożerstwa. Ja jadłem korę z drzew, wysysając wilgoć i grzebałem w ziemi szukając ziaren brukwi. Rozeszła się wiadomość, że bez względu na wszystko, postanowiono spróbować ucieczki. I tu stał się jakby cud. Samoloty alianckie, przełatujące nad nami, zawiadomiły Międzynarodowy Czerwony Krzyż o lokalizacji naszych więźniów i w tych właśnie krytycznych dniach, duże wozy ze znakami czerwonego krzyża przywiozły nam żywność. Rozdzielano początkowo suchary, w następnych dniach chleb, czekolady i inne produkty żywnościowe. Tak zostało ocalone nasze życie w drodze śmierci. Śmierć nastąpiłaby w tym lesie z głodu lub wybicia nas, bowiem transport już nie miał się gdzie ulokować.

W południe, 2 maja nieco nasyceni, z małymi zapasami żywności, ruszyliśmy w dalszą podróż. Wieczorem zatrzymaliśmy się na nocleg przy polach z kopcami ziemniaków. Esesmani, którym również zabrakło żywności, zmienili całkowicie stosunek do nas. Wiedząc o końcu swojego wojowania, zezwalali na pieczenie ziemniaków i mięsa końskiego.

Nastąpiła noc. Przytuleni jeden do drugiego, leżąc na ziemi, zasnęliśmy.

Rano 3 maja 1945 r. po przebudzeniu nastąpiło zdziwienie - było nas o wiele mniej. Esesmani pouciekali, a my mogliśmy odejść wolni. Okazało się, że niedaleko stąd, około 7 km pod miastem Schwerin, wojska niemieckie poddały się i ustały wszelkie działania wojenne. Wraz z grupą kolegów poszliśmy w stronę tego miasta. Dochodząc do frontu, spotkaliśmy wracających więźniów, którzy nas poinformowali, że wszystkich w pasiakach Niemcy rozstrzelują. Wróciliśmy do miejsca noclegu, namawiając jednego z esesmanów, by z nami poszedł. Zgodził się i wtedy jako grupa konwojowana, doszliśmy prawie pod sam front. Zauważyliśmy idących drogą trzech żołnierzy amerykańskich i polskiego oficera. Ten widząc nas krzyknął: "Wy Polacy?", odpowiedzieliśmy - Tak. Poszliśmy razem z nimi. Zaczęliśmy wszyscy płakać z radości i szczęścia, ściskać się. Esesman, widząc tę scenę, wyrzucił karabin w las, prosząc o przeprowadzenie na stronę wojsk alianckich.

My przebrani i najedzeni, zostaliśmy przewiezieni do portowego miasta Lubeki, w którym oczekiwaliśmy repatriacji do Polski.

Na przymusowych robotach w III Rzeszy

- opisuje Stanisław Jochymek

Był luty 1914 roku i sroga zima kiedy zostałem zabrany do Niemiec na przymusowe roboty jako 16-letni chłopiec. Mimo złych przewidywań, trafiło mi się, całkiem dobrze bo dostałem się do rzeźnika na wsi, który prowadził skup zwierząt, ubój i wyroby oraz sklep. Do tego "interesu" służył transport - para koni, wóz i sanie na zimę, specjalnie do tego celu przeznaczone, bo samochód stał na klockach z powodu odebrania przydziału na paliwo. Posiadał również niewielkie gospodarstwo rolne, około 0,6 ha, dla potrzeb własnej rodziny. Tu zobaczyłem dopiero warsztat wyposażony w maszyny, chłodnie oraz sklep, wszędzie czystość niesamowita, porządek i ład, tak samo w stajni, garażach,

szopach i na podwórzu. Każdy dzień w tygodniu miał swoje przeznaczenie w zajęciach: poniedziałek - ubój zwierząt, jedna krowa, trzy cielęta i dwie świnie, wtorek i środa - rozbiórka na części i selekcja na wyroby, do rąbania itd., czwartek - wyrób wędlin gotowanych i parzonych, piątek i sobota - dzień sprzedaży w sklepie, to było zajęcie dla pani. Sobota i niedziela do południa - wyjazdy w teren i skup zwierząt, po południu czas wolny na spotkania z kolegami i śpiewy. Jeżdżąc po zwierzęta rzeźne zwiedziłem okolicę w promieniu 30 kilometrów, poznałem wsie i miasteczka oraz różnych ludzi. Język niemiecki poznałem dość szybko, dlatego, że byłem wśród samych Niemców. Zazdrościli mi niektórzy tego miejsca pracy, bo przecież nie byłem głodny i miałem w czym chodzić. Brakowało tylko wolności i swobody, trzeba było wcześniej wstawać, a to w tym wieku było bardzo krzywdzące.

Mijały tygodnie i miesiące, Niemcy toczyli walki w Afryce i na Bałkanach, aż wybuchła wojna w ZSRR. Co chwila w naszej wiosce powoływano do wojska mężczyzn, w końcu brali osiemnastolatków. Od czasu do czasu w lokalnej prasie pojawiały się nekrologi: poległ na polu chwały, odznaczony itd. Przywieźli do dworu pierwszych niewolników z frontu wschodniego, traktowali ich bardzo rygorystycznie, ale z czasem chodzili już bez eskorty. Niemcy byli bardzo dumni ze zwycięstw na wszystkich frontach, w radio grali tylko muzykę marszową, otwierali okna, żeby słychać było wszędzie i daleko. W wiadomościach radiowych podawali kilka razy dziennie: Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych podaje do wiadomości, że nasze wojska zajęły Smoleńsk, czy Orzeł i zabrali do niewoli tylu, a tylu jeńców oraz zdobyły ileś tam sprzętu. Aż wreszcie zaczęły się niepowodzenia. Z początku nie bardzo wyraźnie to brzmiało, ale z czasem moi gospodarze zaczęli przyjmować z goryczą złe informacje z frontów, co dało się odczuć na każdym kroku.

W tej wsi, do grudnia 1944 roku nie czuć było wojny z wyjątkiem dalekich detonacji bomb i dział przeciwlotniczych podczas nalotów na Berlin, czy Drezno, dokąd było niecałe 100 kilometrów. Do wsi przywozili poszkodowanych od bomb, były to przeważnie kobiety

z dziećmi, których trzeba było zakwaterować, jeżeli był jakiś wolny pokój. W grudniu 44 roku zobaczyłem pierwszych ewakuowanych, jadących wozami konnymi okrytymi plandekami, jak cygańskie tabory, uwiązaną z tyłu krową. Całe szeregi zaprzęgów jechały na zachód, czasem szukali kwatery w naszej wsi. Front i odwrót armii niemieckiej zbliżały się nieubłaganie, listów z domu nie otrzymywałem, od pół roku nie wiedziałem co dzieje się z domem i rodzicami. Zima tego roku była dość łaskawa, czasem powiało trochę śniegiem czy chłodem, ale w domu można było wytrzymać, gorzej z tymi co w podróży. Mówiło się coraz głośniej, że i nas czeka ewakuacja, chociaż niektórzy twierdzili z przekonaniem, że tylko do Odry puszczą wojska sowieckie, a dalej nie.

Gdzieś w styczniu ogłosili, że każdy dom ma się przygotować do ewakuacji, na wszelki wypadek spakować dobytek, przygotować transport i czekać. Zapanowała już inna atmosfera, na szczęście śniegi zaczęły topnieć i zrobiło się dość ciepło. Tymczasem ruch ewakuowanych trwał, co jakiś czas przejechał sznur zaprzęgów z dobytkiem i ludźmi, często przejeżdżały samochody z wojskiem, tam i z powrotem. Nasza wieś znajdowała się 7 kilometrów za Nysą Łużycką i stanowiło to niebezpieczeństwo w razie jakiejś wymiany ognia, co wkrótce nastąpiło, najpierw było słychać pojedyncze strzały z karabinów, i broni maszynowej.

11 lutego 1944 roku, kiedy władze terenowe nakazały natychmiast przygotować się do drogi, nie było celu podróży, tylko kierunek na zachód. Moi gospodarze, z dwoma sąsiadami już wcześniej zaplanowali, że nie pojedą ze wszystkimi, tylko w lesie zboczą z trasy i przeczekają. I tak też stało. Odjechaliśmy kawał od głównej drogi i w wybranym miejscu zajęliśmy stanowiska na zakwaterowanie. Z żerdzi zrobiliśmy boksy dla koni, zamaskowane od góry a wozy, ukryliśmy w cieniu drzew. Pogoda była wspaniała. Po kilku dniach zaczął padać deszcz i oziębiło się. Ogólnie panował spokój, słychać było pojedyncze strzały, gdzieś daleko samoloty patrolowe przeleciały czasem i znów spokój. Wytypowano mnie jako zwiadowcę, miałem jechać do wsi, zorientować

się w sytuacji i wrócić z powrotem. Zgodziłem się, wziąłem rower i psa, musiałem się tłumaczyć, że jesteśmy w podróży i zapomniałem zaprzęgowej uzdy dla konia, która jest niezbędna. Wyjechałem z lasu, widać wieś, na moście stoi kilku żołnierzy, widocznie jakaś warta, bo most zaminowany, wyraźnie widać przewody, popatrzyli na mnie i nie zareagowali.

W zabudowaniach gospodarczych, sadach i na podwórzach pełno samochodów i czołgów, wszystko zamaskowane gałęziami lub siatkami, okopane na wysokości kół, w koło pełno uwijających się żołnierzy. Nasz dom stał w centrum, na skrzyżowaniu ulic. Na górze w pokojach jakiś punkt dowodzenia czy informacji, pełno kabli doprowadzonych do okien, jakieś urządzenia telefoniczne, pudła, a w podwórzu i warsztacie urzędują woźnicy, gotują w kotłach, inni oprawiają zabity świnie. Zameldowałem się u oficera, powiedziałem o co chodzi, odpowiedział: "Dobrze, zabieraj i zmykaj, bo tu nie ma już żadnych cywili." Po przyjeździe powiedziałem jak sytuacja wygląda, następnie pojechał sam szef i załatwił z dowództwem tego zgrupowania, że możemy powrócić do wsi, ale nie do swoich domów, ponieważ te były zajęte przez wojsko, tylko do innych wolnych i tak się też stało. Mieszkaliśmy najpierw w innych, a po zmianie wojska, które się co pewien czas wymieniało, wróciliśmy do swoich domów. Trwało to 3 miesiące. Front stanął na Nysie i przez cały ten okres tylko od czasu do czasu słychać było wymianę strzałów artyleryjskich, czasem pocisk spadł za naszymi zabudowaniami, ale i do tego przyzwyczailiśmy się. Wojsko co jakiś czas wymieniało się, reperowali samochody, czołgi i karabiny, pojazdy malowali na kolor khaki. My byliśmy zajęci swoimi robotami przy koniach i wozach, nawet zaczęliśmy w polu robić i czekaliśmy z dnia na dzień co przyniesie los. Warsztat przez cały czas był prowadzony przez wojsko. Wreszcie, około 15-tego kwietnia na inspekcję wojsk na tyłach przyjechał feldmarszałek Schärner. Wszedł na podwórko w asyście dwóch adiutantów w hełmach, z pistoletami maszynowymi na piersiach, on odziany płaszczem, spod którego widać było na mundurze srebrne i złote naszyca i czapę ze złotymi otokami.

Srogo spojrział na nas i zapytał: "Co to za cywile jeszcze się tu pętają?". Pierwszy raz widziałem jaki strach ogarnął mego gospodarza, gdy zapytany dlaczego nie jest na froncie, zmieszany odpowiedział, że jest chory i zwolniony od służby wojskowej. Przyniósł na to odpowiednie dokumenty i wyjaśnił, że ja jestem Polakiem zatrudnionym u niego. Za chwilę ostrym tonem powiedział: "Natychmiast wynosić się stąd, najbliżej 15 km od frontu, a nie tu". Natychmiast przygotowaliśmy zaprzęgi i dobytek na wozach i ruszyliśmy. Zatrzymaliśmy się u znajomych na przedmieściu. Niestety w odległości około 20 km od linii frontu. Nie trwało to długo, może dwa dni. Pewnego ranka, dzień był już długi, zbudził mnie straszny grzmot, jeden nie ustający łomot, ziemia drgała, tynk poodlatywał z sufitu, trwało to około półtorej godziny. Zerwałem się szybko na nogi, reszta domowników także, każdy był już do tego przygotowany, grzmoty wkrótce ustały, nastąpiła piękna pogoda i ciepło. Nad lasem zauważyłem grupę samolotów i ogień ze skrzydeł. Były to myśliwce rosyjskie, rzucały małe bomby i strzelały cały czas. Schroniłem się za murem ogrodzeniowym, posypały się szyby z okien i dachówka. Zerwało linię wysokiego napięcia, która zabiła kilka osób i konia. W popłochu ruszyliśmy szybko w drogę, na której zrobiło się dość tłoczno, zaprzęgi konne wyprzedzały samochody wojskowe i czołgi. Dowiedzieliśmy się, że front na Nysie Łużyckiej został przerwany i Niemcy w popłochu wycofują się. Tak przez ok. 100 km ciągnęliśmy w kierunku zachodnim. W jednym dniu nie dało się przebyć więcej jak 10 - 15 km z powodu korków na drodze. Ilekroć zamierzaliśmy zatrzymać się na nocleg, to okazywało się, że dana miejscowość ewakuuje się i nie wolno się w niej zatrzymywać. Ludzie i zwierzęta były bardzo zmęczone. Dojechaliśmy do wsi Kamieniec, gdzie na drogowskazie pisało - Drezno 11 km. Takiego tłoku zaprzęgów, koni, ciągników i ludzi trudno było sobie wyobrazić. Wszystkie podwórka, sady, ogródki i pobocza drogi były zajęte i okazało się, że dalej nie można jechać, bo jest jeszcze gorzej. Cudem chyba udało nam się jeszcze wjechać w jakieś podwórko, duże gospodarstwo, zabudowania. Konie umieściliśmy w stodole przy młockarni,

a z kolegą zajęliśmy legowisko na maszynie. Gospodarz spał zawsze na wozie pod plandeką, pilnując dobytku, a kobiety i dzieci po domach i komórkach, gdzie było jeszcze wolne miejsce. Przez cały czas podróży na niebie widać było tylko luny i słychać lomoty strzałów, a w górze samoloty. Ta noc nie zapowiadała się spokojnie, wciąż jakiś ruch, szum na ulicy, około godziny trzeciej usłyszałem jakieś seryjne strzały z broni maszynowej, jakkolwiek potrafiłem rozróżnić strzały prawie z każdej broni niemieckiej, to te były całkiem inne. Postanowiłem wygrałmolić się z kolegą i zobaczyć co się dzieje na ulicy, idziemy przez podwórze, między wozami. Noc była piękna, księżycowa. Zobaczyliśmy grupę ludzi, kobiety rozmawiające z żołnierzami na koniach. W świetle księżycy nie można było rozpoznać mundurów, mówili po rosyjsku z Rosjankami będącymi w takiej sytuacji jak ja. Zbliżyłem się i zapytałem, Ruskie, czy Włosey? Ruskie - odpowiedział - i z tłumugiapiów wysunął się mężczyzna, Niemiec, z rękami w kieszeni i rozpiętą marynarką, a z kamizelki połyskiwał łańcuszek zegarka. Żołnierz zapytuje go: "Skolko ciasy?" Widzę, że nie reaguje więc mu tłumaczę: "Zapytuję, która godzina?" Wyciągnął zegarek i kieruje pod blask księżycy, zdążył powiedzieć piętnaście po trzeciej. W tym momencie żołnierz zdjął rękę z konia i ... tylko chrupnęło przy łańcuszku, ten zdziwiony mówi: "Co on mi zrobił?" A strzały na ulicy były z pepeszek, jakaś duża grupa wojska rosyjskiego przejechała przez wieś, napotkali grupę jeńców rosyjskich, którzy tu pracowali i byli ewakuowani pod eskortą, eskortę wystrzelali, a jeńców zabrali ze sobą i skierowali się w stronę Drezna. Kiedy się rozwidniło, zobaczyliśmy leżące ciała, a karabiny przetrącone o słupki przydrożne. Około godziny dziewiątej jedzie 6 "Tygrysów" (czołgów niemieckich) w kierunku Drezna, oficer jednego oświadczył, że ludność cywilna znajdująca się w tej miejscowości musi się natychmiast wycofać, bo za dwie godziny będzie tutaj front. W popłochu szykujemy zaprzęgi i udajemy się do innej wsi oddalonej o 5 km, gdzie panował już taki tłok jak tu, ale na siłę jakoś wcisnęliśmy się do sadu za stodołą. W tym dniu panował tutaj spokój, ale na drugi dzień przed południem zrobił się ruch, popłoch,

ktoś powiedział "Prusy jadą!". Udaliśmy się z kolegą bliżej drogi, a w naszym kierunku jedzie dwóch żołnierzy na koniach, okryci palatkami, polskie mundury, czapki rogatywki i polskie orzelki. Zapytują po polsku, czy tutaj nie ma żołnierzy niemieckich. Odpowiadamy, że jesteśmy tu od wczoraj i nie widzieliśmy. Porozglądali się po zaprzęgach, po ludziach i udali się w kierunku drogi, a my za nimi. Drogą w kierunku na zachód jadą samochody z zaczepionymi armatami, na każdym pod plandekami pełno żołnierzy polskich, którzy śpiewają polskie piosenki, "Wojenko, wojenko", "Przybyli ułani", "O mój rozmarynie" itp. Trudno opisać doznane wrażenia i emocje w owej chwili. Z opowiadań żołnierzy wynika, że droga do Polski jest wolna i że możemy wracać, tak też uczyniliśmy.

Dojeżdżamy do miasteczka Keningswarta, w naszym kierunku jedzie samochód, na pace kilku żołnierzy rosyjskich z pepeczami gotowymi do strzału. Jadący końmi ustępują na prawo. Nad miasteczkiem samolot z gwiazdą czerwoną, widać, że miasteczko zajęte jest przez Rosjan. Na pierwszym skrzyżowaniu stoi dwóch żołnierzy z bagnetami na broni, dokładnie śledząc nas, przejeżdżających. Dojeżdżamy do rynku, znowu stoi dwóch żołnierzy niemieckich na koniach, z pistoletami maszynowymi, gotowymi do strzału i tak samo śledzą nas. Mijamy dalej wielki szpital, dużo piętrowych budynków, na dachach białe flagi z czerwonymi krzyżami, a na placu wokół budynków widać rannych żołnierzy, naszych, Rosjan i Niemców, nie wiadomo co jest grane?. Jedziemy dalej, zabudowania się kończą, puste domy, w dali widać pola, las i trochę budynków, jadący na przodzie na rowerach mówią żeby nie jechać dalej, bo na drodze są zapory przeciwpancerne i Niemcy. Zajęliśmy więc kwatery, gdzie kto mógł.

Rano zrobił się ruch, ktoś mówi: "Rosjanie!". Biegną grupkami po kilku, zapełnili podwórko i penetrują po wozach, jeden znalazł kurtkę skórzaną, inny buty z cholewami, ludzie chcą bronić swego dobytku zdziwieni co się dzieje, ukryły się. Żołnierze pobiegli w kierunku lasu, a tu pojawia się oficer na koniu i zwołuje zebranie

wszystkich obcokrajowców i ogłasza: "Pracowaliście u Niemców przez pięć lat, więc zabierajcie co możecie konie, wozy i dobytek, to wszystko jest wasze i wracajcie do domu". Tu, w mieście jest punkt zborny, a dalej będziecie konwojowani do bezpiecznego miejsca, bo tu za chwilę będzie front. Przykre to było dla Niemców, bo do tej pory wszystkiego bronilem i miałem posłuch. Nikt jednak nie zastosował się do polecenia oficera, każdy brał tylko swoje rzeczy osobiste. Mój dobytek to dwie walizki, teczka z przyborami do mycia i golenia oraz prania i nowy rower, którym się cieszyłem niedługo, bo zaraz przed miastem następna grupa Rosjan zabrała mi go. Dźwigam dwie walizki i teczkę, ale widzę, że to co ja mam w walizkach to po rowach leży. Powywracane wozy z dobytkiem ludzkim, zabite konie i ciała ludzkie towarzyszą nam całą drogę. Przełożyłem co lepsze rzeczy na siebie, zostawiłem lżejszą walizkę, resztę wyrzuciłem. Po drodze znalazłem 7 różnych rowerów, ale takich do prowadzenia, jechać się nie dało. Co jakiś czas ktoś mi je zabierał. W końcu znalazłem wózek dziecinny, załadowaliśmy w kilku na niego swoje bagaże i na zmianę ciągnęliśmy go ku wschodowi. Była nas duża grupa ludzi młodych, kobiet i mężczyzn. Z początku szliśmy wszyscy razem: Polacy, Ukraińcy, Francuzi, prowadzeni przez kilku starszych wiekiem żołnierzy z karabinami i bagnietami na sztore. Na każdej kwaterze była zupa z kotła wojskowego i bochen chleba, tak, że zadbano o nas, nie można było narzekać. Trwało to przez kilka dni, później porozbijaliśmy się na mniejsze grupki, konwojentów już nie było. Kolega Józek z Olkusza i dwóch z poznańskiego dotarliśmy do Kobylina, bo wokół Wrocławia trwały jeszcze walki, a następnie do Katowic. Nie sposób wszystkiego opisać, co się po drodze widziało i przeżyło. Wróciłem do domu w maju 1945 roku, piękny był to miesiąc, w domu zastałem wszystkich zdrowych i całych.

Dwa okupacyjne dialogi

- spisane na podstawie opowiadania

Henryka Lorka

W czasie okupacji ampskomisar, doktor praw - Nowak, oficer i inwalida wojenny bez nogi, spod Werdę, poprosił na rozmowę doktora Czachórskiego. "Proszę pana - mówi - byliśmy podczas pierwszej wojny światowej wrogami. Pan był majorem armii carskiej, ja kapitanem armii pruskiej. Walczyliśmy przeciwko sobie. Dziś sytuacja się zmieniła: mamy wspólnego wroga - komunistyczną Rosję. Wie pan, że Niemcy rozpoczęły z nią walkę?. Jak pan ją widzi jako człowiek, znający ten kraj?". Tu po chwili namysłu następuje niemal prorocza odpowiedź Czachórskiego: "Sprawa trudna... Związek Radziecki jest nie do pokonania". Po chwili namysłu, z podpartą głową, dwiema rękami opartymi łokciami na biurku, Nowak powiedział: "Ja też tak uważam".

Proboszcz bolesławskiej parafii z okresu okupacji - Jan Skalski - w czasie pierwszej wojny światowej był kapłanem wojsk niemieckich, będących w niewoli w Związku Radzieckim po Rewolucji w 1917 roku. Tam świadczył im usługi duchowe. Był lubianym księdzem. Posiadał z tego okresu zaświadczenie o swojej funkcji. Pomagało ono proboszczowi w czasie okupacji w wielu przypadkach w załatwianiu różnych spraw, najczęściej u władz okupacyjnych, jak np. możliwość stałego zatrudnienia Polaków przy remoncie kościoła, co chroniło ich od wyjazdu na przymusowe roboty do Niemiec, uzyskanie przydziału materiałów budowlanych, żywności itp. Dokument ten dawał proboszczowi odwagę. Niemcy go szanowali. W tym czasie "królował" w Bolesławiu wspomniany doktor Nowak. Proboszcz zgłosił się do doktora na wezwanie w jakiejś tam administracyjnej sprawie. Rozmawiają - gdy doktor robił się w rozmowie coraz trudniejszy, zarozumiały i wszechwładny, proboszcz powiedział: "Panie doktorze, pan jest Niemcem, ale pańskie nazwisko wskazuje na polskie pochodzenie". Nowak zamilkł na długą chwilę, głowę podparł oburącz wspierając się

łokciami na okazałym biurku i rzekł: "Ty na pewno masz rację". Dalsza rozmowa potoczyła się już łagodnie.

Plan przesiedlenia Krzykawy, Krzykawki i Małobądza.

Okupant posiadał doskonale rozeznanie o jakości gruntów na zagrabionych terenach. Wiedział, że od wzgórza kościelnego w Bolesławiu do Białej Przemszy w Kuźniczce i Chwaliboskim są lessowe gleby. Opracował więc plan podziału tych terenów na 37 tzw. "bloków" o powierzchni od 15 - 22 hektarów każdy. Plan przygotowywało Górnośląskie Towarzystwo Krajowe, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością w Opolu - Zarząd w Katowicach jako "wykonanie polecenia wodza Rzeszy dla umocnienia niemieckiego narodu". Zamierzano nawet budować mieszkania "nowych osad" oraz budynki gospodarcze. Plan wysiedlenia okupant przeprowadził z wielką precyzją. Osiedlono "bauerów", lecz nie wybudowano przez ponad dwa lata trwania zarządzania w nowo zorganizowanych gospodarstwach, ani jednego budynku mieszkalnego i budynku gospodarczego, poza nielicznymi wozowniami i szopami na narzędzia rolnicze.

Oni byli mieszkańcami naszych domów:

Nr domu	Nazwisko i imię
---------	-----------------

w Krzykawie:

1	Seibert Heinrich
6	Seibert Michal
13a	Gaube Katharine
14a	Schum Johann

18a	Janz Wilhelm
20a	Rumpel Sigmund
25a	Kelsch Johan
25b	Schum Emil
26	Mayer Wiktor
28	Schum Friedrich
33	Seibert Friedrich
34	Lerach Johan
45	Lokotach Georg
53	Melzer Gustaw

w Krzykawce:

1	Rumpel Josef
11	Seibert Johan
27	Seibert Adam
38	Friess Friedrich
39	Paul Zettel
41	Friess Viktor
44	Kristel Karl

w Krzykawce Komorze:

2	Wachmann Eugen
3	von Gruchalla Heinrich
4	Koldolfer - zarządca dworku

w Malobądzu:

8	Kelsch Franz
10	Friess Friedrich
43	Seibert Jakob
16	Friess Kristian

W Krzu:

12	Siebert Rudolf
14	Seibert Leo

w Ujkowie Nowym:

1	Brenner Jakób
72	Fries Franz (Bolesław?)

w Bolesławiu:

62a	Kristel Friedrich
64	Hackel Filip

w Laskach:

1	von Gruchalla Heinrich
---	------------------------

Okupacja “na wesoło”

Ciężkie i mroczne były to czasy. Polacy jednak nigdy nie tracili nadziei na odzyskanie wolności. Pocieszali się uzyskanymi czasami pozytywnymi informacjami o niepowodzeniu Niemców na froncie wschodnim, o akcjach partyzanckich i niepowodzeniach losowych niemieckich “bauerów”. Nie obce im było nawet poczucie humoru. Płatali figle Niemcom, a nawet sobie nawzajem.

We dworze w Krzykawce pracował przedwojenny wyrobnik dworski - Dębski. Był to bardzo wysoki, szczupły, dobrze zbudowany mężczyzna o wyglądzie poważnym, kamiennej niemal twarzy, prawie bez uśmiechu. Wygląd jego nie wskazywał na nadzwyczaj wysokie poczucie humoru i dowcip. Pewnego dnia spletał jednak figla

swemu koledze Glanowskiemu, który systematycznie codziennie odwoził na stację do Sławkowa rumuńskimi wołami zaprzęzonymi do dużej platformy, dziesiątki baniek mleka. Na platformie zawieszona była tabliczka z białym napisem: "Gutsverwaltung Krikawka" co oznaczało "Zarząd dóbr ziemskich w Krzykawce". W dużej oborze o wzorowym porządku, każda sztuka bydła posiadała tabliczkę z jej nazwą, rasą, wiekiem i bodajże z mleczością. Potężny buhaj również posiadał tabliczkę: "Bulle Niderlandische rasse Schwarz - weis 2 jahre", co oznaczało "Buhaj rasy holenderskiej, czarno-biały - lat 2". Ten dowcipny Dębski zabrał tabliczkę od buhaja, zawiesił na platformie, a tę z platformy zawiesił buhajowi. Woźnica Glanowski nawet się nie zorientował, tym bardziej, że nie znał języka niemieckiego. Jak zwykle śmiało jedzie z mlekiem. Na Szymanówce pod Sławkowem, przed budynkiem żandarmerii stoi trzech żandarmów z rowerami, przygotowanych do wyjazdu. Zatrzymują woźnicę skinieniem ręki i charakterystycznym "Halt!". Woźnica zatrzymał woły. Co się dzieje? Niemcy zamiast kontrolować śmieją się do rozpuku, aż rowery odstawili, za brzuchy się trzymają. W końcu jeden z nich wypisuje mandat i łamaną polszczyzną mówi: "Ty płacić sztrof cwaj mark za zle tablica", Glanowski rzucił cichaczem upodobanym przekleństwem o k...!, żal było dwóch marek. Dwa dni musiał przecież na nie pracować. Wrócił do dworu, a kwitek oddał stojącemu przypadkowo w bramie zarządcy niemieckiemu zwanemu inspektorem. Ten przeczytał mandat, spojrzał na tablicę i wybuchnął śmiechem. Inspektor zwołał całą rodzinę, żonę i dwóch synów. Poleciał zamienić tablice. Teraz dopiero woźnica Glanowski zorientował się o co to chodziło. Inspektor zwrócił mu dwie marki za zapłacony mandat i dał mu jeszcze dodatkowo nagrodę w wysokości trzech marek, chyba za ubaw jaki mu zgotowali wspólnie z Dębskim.

Spis treści

Wstęp	3
Sytuacja gospodarcza i warunki życia w wioskach na terenie gminy Bolesław przed wybuchem wojny	5
Wybuch drugiej wojny światowej i wkroczenie wojsk niemieckich na teren gminy	4
Struktura administracyjna powiatu olkuskiego i miejsce Bolesławia w tej strukturze	5
Warunki życia mieszkańców gminy podczas okupacji	7
Wspomnienia okupacyjne mieszkańców Bolesławia i okolicy	8
Opowiadania Franciszka Żulichowskiego o karach za handel żywnością	9
Przeżyłem obóz koncentracyjny - opowiada Mieczysław Pędras	10
Na przymusowych robotach w III Rzeszy - opisuje Stanisław Jochymek	18
Dwa okupacyjne dialogi - spisane na podstawie opowiadania Henryka Lorka	26
Plan przesiedlenia Krzykawy, Krzykawki i Małobądza	27
Okupacja na wesoło	29

Uwaga: Wykaz literatury i źródeł podano w Zeszytcie czwartym

Maßstab 1:100.000



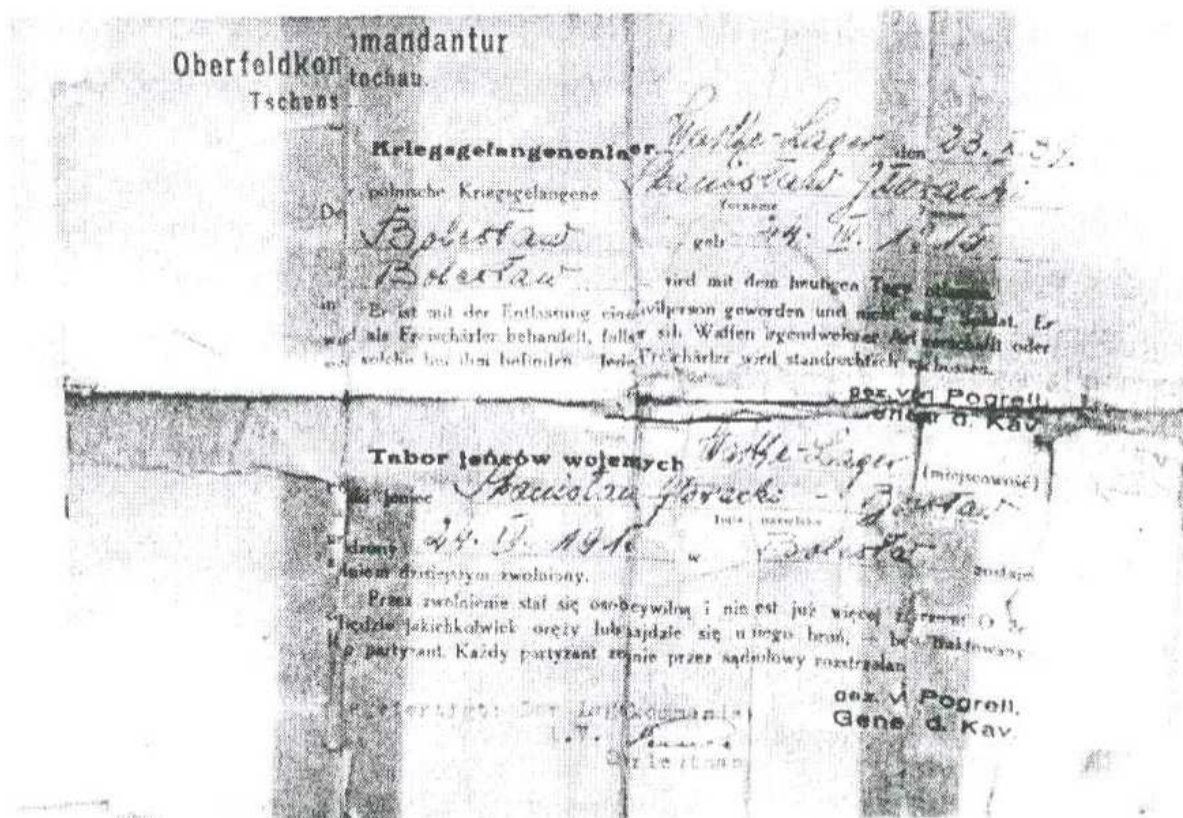
zmk



Mapka z czasów okupacji z oznaczonym przebiegiem granicy między Generalną Gubernią, a III Rzeszą.



Punkt graniczny III Rzeszy w Sieniecznie



Dowód i warunki zwolnienia Stanisława Głowackiego z taboru jeńców wojennych 23 października 1939 r.



Punkt obserwacyjny Luftwaffe na najwyższym wzniesieniu w Krzykawie.
Rysowała Wiesława Danuta Cieślik



Władysław Ślęzak z Krzykawki -
żołnierz września 1939 roku
(nie wrócił z wojny)